

Warszawa dnia 13 (25) Października 1865 roku.

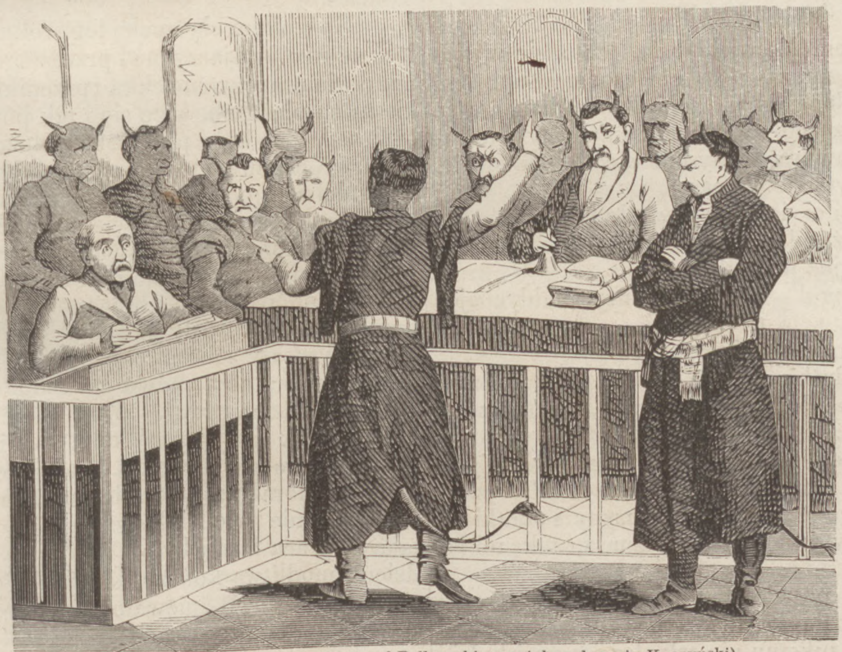
Nr 43. | Cena w Warszawie 40 groszy miesięcznie. — Cena na prowincji na stacjach pocztowych 5 złotych kwartalnie. | Rok I.

WIZERUNEK ZBAWICIELA
W TRYBUNALE LUBELSKIM.

W sądowéj sali w Lublinie stał krzyż kamienny z wizerunkiem Zbawiciela, a nad nim był napis znacznéj wielkości złotemi literami: *Justitias vestras judicabo* (sprawiedliwość waszą osądzę). Osobliwością tego wizerunku to było, iż Chrystus Pan miał twarz odwróconą, i rysów jéj nie można było widzieć; jednakże snycerz nie był go tak wystawił, ale dopiero pewien wypadek stał się powodem téj zmiany.

Podanie ludowe w taki sposób przechowało wiadomość o tem wydarzeniu: Była wdowa szczupłego mienia, uciśniona mocno przez jakiegoś magnata. Jéj sprawa była najczystszą w świecie, ale magnat, zobowiązawszy wszystkich członków lubelskiego Trybunału, pozyskał przeto dekret korzystny na swoją stronę, lubo wprost przeciwny prawu i sumieniu. Gdy ogłoszono ten sprzedajny dekret, nieszczęśliwa wdowa, oburzona niesprawiedliwością, wyrzekła na cały głos w izbie sądowéj: Gdyby mnie sami nawet djabli sądzili, to byliby wydali sprawiedliwszy od was dekret.

Ponieważ sumienie kłuło sprzedajnych deputatów, więc pomimo publicznéj obrazy Trybunału, nie zapozwano jéj na roki i wszyscy sędziowie udali, jakoby słów jéj wcale nie słyszeli, jakie tak głośno w uniesieniu w obec wszystkich powiedziała.



Sąd djabłów w Lublinie.—(Rysował Polkowski—wyciął na drzewie Kuczyński).

W nocy dnia tego zajeżdża przed Trybunał Lubelski mnóstwo karet, wysiadają z nich jacyś panowie nieznani, jedni w kontuszach, drudzy w rokietach, wszyscy porządnie i schludnie przybrani, tylko, że z rogami na głowie i ogonami, które im się z pod sukien dobywały.

Nowo-przybyli idąc po wschodach, i wszedłszy do ogromnéj sali trybunalskiéj, zajmują krzesła, jeden marszałka, drugi prezydenta, inni znowu deputatów. Posłali po pisarza kancelaryjnego, co w samym gmachu Trybunału mieszkał. Niewiedząc co to jest takiego, przyszedł zaraz, ale wszedłszy do sali rychło się zmiarkował, że to byli djabli, i z wielkim strachem zająwszy swoje miejsce przy stole, oczekiwał co to z tego wszystkiego będzie.

Wtem djabeł co marszałkował, kazał wprowadzić sprawę tejże biednéj wdowy, co to ją tak niesprawiedliwie osądzono. Przystąpiło zaraz do kratek dwóch djabłów jurystów: jeden *pro*, drugi *contra*, ale z dziwnym dowcipem w wywodach i z wielką praw naszych znajomością. Po krótkim wstępie, diabeł marszałek przywołał pisarza województwa Podlaskiego, (bo ten interes był z Podlasia), ale także rogatego pisarza, i kazał mu wziąwszy pióro usiąść za stołem. Zbliżył się pisarz do swego kolegi trybunalskiego żywego, co na pół martwy ze strachu siedział, i począł zaraz dekret pisać jak mu dyktowano.

Dekret zapadł zupełnie na stronę uciśnionéj wdowy, a Pan Jezus na taką zgrozę, że nawet sami djabli sprawiedliwszemi byli, niżeli Trybunał Lubelski w Imię Jego sądzący wszystkie sprawy, i w którym nawet tylu kapłanów zasiadało, zasmuconą twarz Swoją odwrócił od ludzi, i oblicza Swego narodowi nie pokaże, jako miał o tem objawienie świętobliwy jeden Bazyljanin lubelski, aż naród się zupełnie pozbędzie przedajności w sądach, łakomstwa w księżach i pijaństwa w szlachcie.

Ów dekret djabli podpisali, wypalając na nim zamiast podpisów rozmaitego kształtu wyobrażenia łap, poczem położywszy go na stole w miejscu, gdzie było siedzenie prezydującego, wyszli i wsiadłszy do oczekujących karet, rozjechali się zaraz.

Następnego posiedzenia Trybunału, wszyscy panowie urzędnicy oglądali ten czartowski wyrok i dziwili się beztronności sumiennéj, z jaką on został napisanym, a obawiając się, aby ci nieznajomi z czem gorszem nie przybyli po raz drugi jeszcze, wzięli sprawę uciśnionéj wdowy po drugi raz pod rozpoznanie, i wyrok wydano wtedy sprawiedliwy, prawie kubek w kubek podobny do tego djabelskiego, mocą którego, magnata odrzucono z pretensjami i jeszcze na grzywny tak jak się należało skazano.

Zygmunt Gawarecki.

ŻYCIE W PUSZCZY.

PAMIĘTNIK SPRAWIEDLIWEGO CZŁOWIEKA.

*(Ciąg dalszy.—*Patrz Nr. 35 do 42).

Nie troszczyłem się wiele o to, że mi się w głowie kręciło, bo gorsza ręka spieczona. Zabrałem więc kosę na jedno ramie, kobiałkę na drugą, a że i Tomasz był już gotowy, więc ruszyliśmy ku domowi. Dobrą chwilę szliśmy milcząco obok siebie, aż wreszcie zapyta się Tomasz:

— A co, kręci ci się jeszcze w głowie?

— Nie, nic już, odrzekłem, bo i prawda, że prócz bolącéj ręki nic już nie było.

— Chwała Bogu! —zawołał Tomasz, oddychając głęboko.

— A to czemu? zapytałem.

— Bo to nie drobiazg, jeżeli taka żmija ukąsi; mogłeś się był na dobre rozchorować, ale teraz już ci nic nie będzie.

Dziwiły mię te słowa Tomasza, bom sobie nigdy nie myślał, żeby żmija mogła być tak bardzo szkodną. A kiedym się zaczął o przyczyny i skutki téj jadowitości wypytywać, wtedy Tomasz, tak mi jął prawić:

— Wszystkie prawie węże po naszych borach żyjące, nie są wcale jadowite, boć przecie nieraz i do chat załażą, nikomu nie szkodząc, a nasi ludzie mówią nawet, że grzech jest węża zabijać, choć to nie mądry zabobon, tak jak i wiele innych. Jużci pustota jest to zabijać węża nieszkodliwego, niewinne bardzo stworzenie, lecz żeby za to kara jaka lub zemsta czekać miała, to czysty wymysł ludzki. Strzedz się atoli należy przed żmiją jadowitą, jakąśmy dzisiaj zabili, bo ta jest bardzo niebezpieczna. Na szczęście rzadko trafia się ona w naszych lasach; ja widziałem ją dziś dopiero drugi raz, choć już od lat kilkunastu sród téj puszczy żyję. O wiele częściéj widywałem w górach jadowite żmije, i tam też nauczyłem się radzić na ukąszenie. W dnie gorące osobliwie, gdy człowiek jest zmęczony i zgrzany, szkodliwem jest bardzo ukąszenie żmiji. Po dwóch lub trzech pacierzach następuje zawrót głowy i to coraz mocniejszy, tak, że się człowiek na nogach utrzymać nie może, lecz upada. Rzadko się trafia, żeby ludzie umierali z ukąszenia, ale jeżeli ratunek nie jest śpieszny, jak oto dzisiaj, to ciężką chorobę sprowadza. Żmija taka poluje osobliwie na myszy; po ukąszeniu jest mysz w stanie ledwie trochę się powlec, poczem zdycha. Wtedy żmija czołga się za nią i połyka ją całą, głową na dół. Samym żmijom ukąszenie nic nie szkodzi, nie szkodzi też i człowiekowi, jeżeli się do krwi nie dostanie i z nią nie pomięsza. Dla tego też ranę taką bezpiecznie wyssać można, jeżeli wargi nie są skaleczone, bo i owszem, jad żmiji wzmacnia żołądek.

Słuchałem Tomasza z uwagą, choć mi rana mocno dokuczała. Jeszcze przed zachodem słońca zaszliśmy do domu. U wrot witał nas łysek radosnem szczekaniem i Basia śpiewająca. Więc pierwszą rzeczą było, iż Tomasz kazał Basi przynieść trochę świeżutkiego niesłonego masła, i posmarowawszy na szmatkę, przyłożył go na ranę, co mi wielką ulgę sprawiło.

Tomasz miał ten zwyczaj, iż każdego dnia wieczorem obchodził dokoła gospodarstwo, oglądając czy wszystko jest jak się należy. I tą więc razą, choć zmęczony, kazawszy Basi czemprędzéj gotować wieczerzę, wyszedł popatrzeć na swoją pracę, a że ja nie miałem już co robić, poszedłem z nim razem. Gdyśmy przechodzili koło ziemniaków, odezwał się Tomasz:

— Spóźniłem się trochę tego roku z ziemniakami, lecz że rola jest jarzynna i przeszłego roku tęgo wymierzwiona a przytem lekka i przenikliwa, jak wszystkie tu na piaskach, więc się i tak powinny udać.

Potem idąc koło pastwiska położonego nad potokiem, wróciliśmy do domu, znalazłszy na polu wszystko w dobrym porządku. Z dziedzińca wstąpiliśmy do sadu, gdzie stało w kącie sześć pniów pszczółek, których Tomasz troskliwie pilnował. Wszystkie pnie były pełne; ostatnie pszczoły wracały jeszcze z lasów, miód niosąc i brzęcząc wesoło. I te stworzonka Boże, wracały na spoczynek po całodziennéj pracy, wracały schronić się przed nocnym chłodem i przed rosą, aby znowu z wschodzącem słońcem rozpocząć dzień pracy.

I otóż jak tym pszczółkom, tak i mnie schodził czas w zagrodzie Tomasza. Pod jego łagodnym zarządem i doradą, pracowałeś spokojnie, bez swarów i kłótni, i nie wiedziałeś sam, kiedy się co zrobiło, taka ta praca łatwa była. Modlitwą rozpoczynałeś dzień i modlitwą kończyłeś, a jak te pszczółki brzęczą, tak ty znowu śpiewałeś sobie wesoło przy pracy, aż się gdzieś w lasach rozlegało. Dzień był poczciwie przepędzony, więc i noc miałeś słodką i spokojną. Dzień i noc leciały po sobie tak prędko, jak wieczorne błyskawice co na pogodę wróżą; więc było mi w tem zaciszu leśnem tak miło, jak chyba tylko w Niebie być może.

(Dalszy ciąg nastąpi).

PRZECHADZKA JĘDRZEJA.

Pod wiośnianem słońcem tajały śniegi, lody i rozgrzane wdzięcznością dla Boga, serce człowieka. Promień wiosenny wszędzie się wciskał, weselił dusze i młode trawki, którym było już pilno wyrwać się z pod śniegu i pobujać na wietrze porannym.

Stada dzikich gęsi i jaskółek wędrownych, ciągnęły przez Wisłę ku gościnnym siołom, gdzie się zawsze znajdzie ława dla sąsiada i koło na sośnie dla bociana. Powietrze było piękne, dzwony dzwoniły donośniéj, jakby im także raźniéj było na świecie, a stary Jędrzej stąpał krzepko i prosto po wzgórzach powiśla, kontent, że mu się udało przeciągnąć przez zimę, tak podobną do chłodnéj, już czyhającéj nań mogiły, i zobaczyć się jeszcze z zielonością i ciepłem słoneczkiem.

Jędrzej, takie było nazwisko starego, miał wyszarzaną burkę z honorową wstążeczką, drewnianą nogę, wielkie białe jak śnieg wąsy, doświadczenie długiego żywota, smętne lecz łagodne wejrzenie, dobre słowo dla każdego, a często zdrową radę na ustach. Te przymioty czyniły go wielce szacownym i pożądanym gościem na Szerokiem-Warszawskiem-Powiślu, dokąd ciągnął w dzień piękny ze Starego-Miasta, na popołudniową przechadzkę, aby się napatrzyć pracy tamecznych mieszkańców i modrym falom Wisły, nad którą długo zawsze stawał zadumany.

Ludzie mówili, że stary Jędrzej za każdą przechadzką na brzegu rzeki, wstrząsał smętnie głową i szepnąwszy z cicha:

— Biedny Jerzy! zawracał się ku domowi.

I dzisiaj było tak samo: starzec pokręcił głową, wyszeptał swoje zwykłe użalenie i zawrócił ku drewnianym, po wiosennéj wilgoci wysychającym domkom, co jak ślimaki powychodziły z wody i uczepiły się na piasku. Życie i gwar pracującéj nadwiślańskiéj ludności, mile się rozlegał w jasnem wiosennem powietrzu; nikt na tem pobrzeżu nie zadziwił się przybyciem Jędrzeja, wszyscy go dobrze znali; nawet wielki, kudłaty pies, uwiązany w budzie dla pilnowania bogatych składów drzewa, tylko ze zwyczaju podniósł głowę, spojrzał i schował ją do budy napowrót. Starzec rzucił mu kawałek chleba i podążył spocząć na najbliższym klocu przed białym domkiem, gdzie go wesoło powitała gosposia wieszająca chusty na płocie, a jéj siedmioletni synek, zabrał się zaraz do obejrzenia zbliska drewnianego szczudła. Jakoż obejrzawszy je ciekawie na wszystkie strony mały Franek, zasiadł na ziemi u nóg starego, dziwiąc się, że Jędrzej przekłada szczudło nad szybką, wygodną prawą nogę. Jędrzej pogłaskał jasne włosy chłopca i rzekł mu:

— Jak urośniesz duży, wówczas dopiero powiesz mi co myślisz o mojéj drewnianéj nodze, a teraz ani słowa chłopcze.

Dzieciak patrzył w oczy staremu, kobieta zaś wieszająca chusty, wzruszyła ramionami i rzekła:

— Ot gadacie Jędrzeju dzieciakowi jakby staremu, przecież to jeszcze młode i nieuczone, słów waszych nie rozumie, darmo nim więc i usta i głowę zaprzątacie, powiedźcie mi lepiéj, czyście przechodzili dzisiaj koło chałupy Sobkowéj, i czy jéj dziewucha wróciła z za Wisły.

I niewiasta ustawiwszy próżny kosz od chust przed sienią, siadła na wywróconem korycie, w nadziei usłyszenia nowinek o sąsiadkach; lecz Jędrzej, mając myśl w inny punkt zwróconą, odpowiedział jéj zwolna:

— U Sobkowéj dziś nie byłem, moja pani Katarzyno, dziewuchy jéj nie widziałem, ale za to widziałem jaskółki niosące muszki do gniazdka dzieci i dobrego ogrodnika, co osłaniał wiosenne roślinki przed przyszłym skwarem i zawiejami.

Niewiasta uśmiechnęła się na te słowa.

— Ot wielkie rzeczy Jędrzeju, co rok to samo widzimy, a zaś przy waszem długiem i daj Boże jeszcze najdłuższem życiu, musieliście się już temu dobrze przypatrzyć.

— Nigdy się dość nie można napatrzeć dziełom Bożym i rożnorodnéj pracy człowieka; nigdy zwłaszcza nie można wyczerpnąć całéj nauki, jaką nam widok jednych i drugiéj, zawsze nastręcza i pokazuje.

Starzec się zamyślił, Katarzyna przerwała mu zamyślenie:

— Jędrzej dzisiaj, rzekła, nie ma ochoty gadać o sąsiadach, podlatuje gdzieś za jaskółkami, za kwiatami, jakby nie przymierzając jaki uczony bakałarz; ale kiedy już tak się stało, kiedy nie ma sposobu odmienić was wcale, to powiedźcież mi, czegoście się dzisiaj z waszych spostrzeżeń nauczyli?

Starzec spojrzał ku Niebu, jakby zebraną dziś naukę złożył był gdzieś pomiędzy słoneczne promienie i powiedział:

— Pani Katarzyno, to odradzające się życie kwiatów, roślin i jaskółek przywodzi mi na myśl młodociane życie dzieci naszych, wzrastających jak trawki koło chaty ojcowskiéj...

— To prawda Jędrzeju.... ale czyż my gorsi od jaskółek, czyż to braknie, dopóki nam rąk do pracy starczy, muszek dla tych naszych piskląt?

— Nie zaprzeczam.... mają oni co jeść, ani słowa dopóki i my mamy, lecz czyż je chronimy dostatecznie, jak ogrodnik roślinkę, od złych wpływów, niszczących w nich życie moralne?

— O jakichże to wpływach mówicie?

— Mówię tu tylko o naszych własnych codziennych wyrazach, słowach, pogadankach, które wobec dzieci rzucane jakby na wiatr, w mniemaniu, że one ich nie rozumieją, wpadają wprost do duszy dzieci. Przed chwilą wołaliście na mnie, że Franek nie pojmie mojéj z nim rozmowy; dla tego też matko, ostrzegam was, abyście zbyt niepojętności dziecka nie ufali; słowa mówione w obec niego, przykłady z dnia na dzień dawane, są atmosferą, powietrzem, któremi oddycha; płynem, którym jak gąbka nasiąka; uderzeniem, które potrąca zwolna, nieznacznie o wszystkie struny złych i dobrych skłonności, aż nareszcie je rozbudzi, aż nareszcie się odezwą. W obec téj niezbitéj prawdy, niebaczność nasza w tym względzie jest nie do pojęcia; niejedna gospodyni wystrzega się pilnie wszystkiego, coby kurczęta oziębiło, coby indyki zatruło, a nie wystrzega się codziennych rozmów, opowiadań, przykładów, klątew, co zatruwają najszlachetniejszą istność na świecie, najpiękniejszą nadzieję ludzkości,—bo duszę dziecka.

Niejeden mówi wszystko, co mu na myśl przyjdzie, w obec tych drobnych lecz straszliwych świadków, którzy odebrane wyobrażenia i wrażenia, kiedyś w własnem życiu powtórzą; nie jeden, oswajając ich z nieuczciwością, z kłamstwem, obłudą, zapomina poszanowania należnego niewinności, mającéj być najpierwszym aniołem-stróżem naszych dzieci, i odbiera im przedwcześnie tę najpiękniejszą ciszę, swobodę i ufność serca, która się nieświadomością złego nazywa.

Starzec otarł czoło sukmaną, pot spływał po nim obficie, a Katarzyna, trzymając z macierzyńską troskliwością rękę na głowie swego syna, rzekła z współczuciem:

— Zmęczyliście się Jędrzeju, możeby kubek świe-

żéj wody... Franek wam zaraz przyniesie, jest właśnie w wiadrze przed chwilą przyniesiona.

Jędrzej wstrząsnął głową.

— Dziękuję, pani Katarzyno, to nie zmęczenie, to jest przerażenie, jakie mnie przejmuje na myśl tych wszystkich smutnych przykładów, które widziałem na własne oczy i o których słyszałem. Ja sam znałem jedno śliczne i ulubione mi dziecię, o jasnych oczach, o złotych włosach, co jak promień słońca rozwidniały ciemną izdebkę rodziców swoich na Starem mieście. Ale niestety! wokoło niego zapomniano tylko na chwilę, że dziecię miało nieśmiertelną duszę i nasz Kostek przepadł, zginął nasz Kostek!

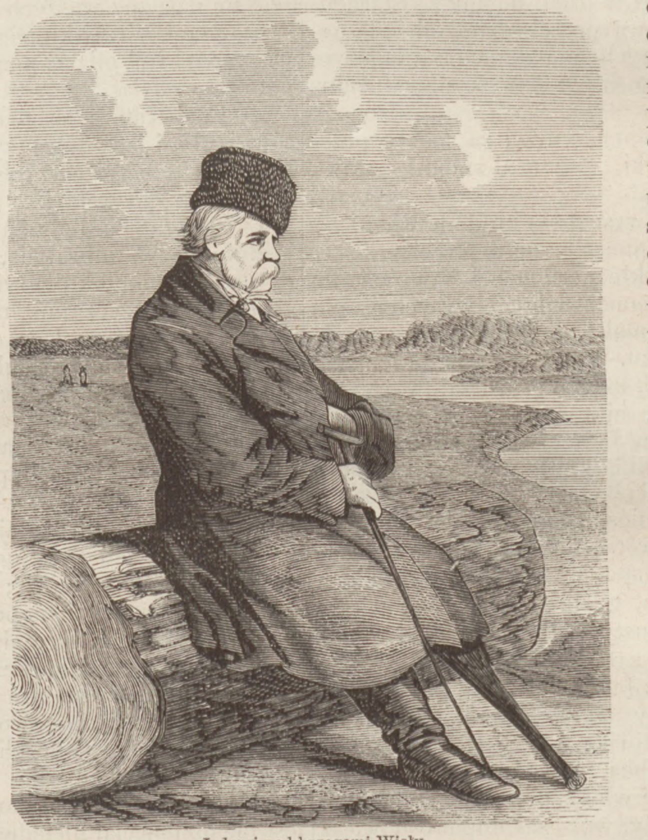
Stary otarł oczy i zamilkł, kobiecie także łzy stanęły w oczach, a Franek przytulając się do niéj, zapytał z obawą:

— Matulku, czy i ja mam nieśmiertelną duszę.

— Tak jest, zawołała niewiasta ze łzami wzruszenia, przyciskając głowę syna do piersi, tak jest, ale ty nie zginiesz moje dziecię, bo ja cię nauczę ukochać tą duszą Boga, bliźnich, powinność i pracę.

Jędrzej patrzył na tę scenę w milczeniu, a zajrzawszy z wdzięcznością w Niebo, powiedział:

— Przypatrzyjcie się żywo, pani Katarzyno, tym waszym postanowieniom uczynionym w téj chwili. Stwórcy i waszemu synowi będzie to najpiękniejszy promień zaczynającéj się wiosny, kwiat najmilszy Bogu i najpożyteczniejszy ludziom..... będzie to także drogie dla mego serca wspomnienie, że dzisiejsza pielgrzymka na Powiślu nie stała się daremną.



Jędrzej nad brzegami Wisły.
(Rysował Polkowski—wyciął na drzewie Krzyżanowski).

To mówiąc Jędrzéj, wsparł się na kuli i powstał, aby pójść w dalszą drogę; kobieta z dzieckiem wyprowadzała go po za obszerny plac drzewa, gdzie się rozchodzi szeroki widok na modre fale rzeki, na brzeg przeciwny i na zachodzącego słońca promienie. Tam się pożegnali ze sobą, obiecując znowuż kiedy się odwiedzić....

Jędrzej zostawszy sam jeden, utonął wzrokiem i myślą w blasku zachodzącego słońca, które znikając mu z przed oczu, a nie ginąc, uprzytomniało ową wielką chwilę śmierci, kiedy duch człowieka ulatuje ze świata, nie ginie, lecz przenosi się w krainy nieśmiertelnego życia. Tam on do królującego Pana Zastępów przesłał pełne ufności westchnienie, że w owéj nieśmiertelnéj krainie, spotka się kiedyś z przebaczeniem Boga, z wiecznym pokojem serca i z duszą ulubionego sobie przyjaciela.

Antonina Machczyńska.

STAROŚĆ.

Życie ludzkie, na ciągłéj zmianie przyswojenia i ubytku zasadzające się, widocznie przebiega na drodze mu zakreślonej, dwie połowy różne: w pierwszéj dążność twórcza, czyli odnowy ciała, kiedy w drugiéj pęd zniszczenia przeważa. Ten przybyt i ubyt tworów organicznych stanowi życie, odbywa się pewniéj i widoczniéj w pierwszym, jak w drugim perjodzie. Wiekiem człowieka nazywamy każdą porę jego życia, od urodzenia do śmierci naturalnéj.

Te zjawiska lub zmiany w ciele, przychodzą stopniowo, z dnia na dzień, mimo wiedzy naszéj, i stosownie do biegu saméj przyrody, podzielić się dają na trzy główne epoki, jako to:

Stopniowego rozwijania się i wzrostu, wykształcenia i ubywania, więdnienia. Téj ostatniéj epoki życia, inaczéj starości wyłącznie nas zajmującéj, z trudnością początek oznaczyć się daje, tembardziéj, że wskutek dziedzicznego usposobienia, klimatu, sposobu życia, zatrudnienia, przebytych chorób, a więc i wejście w starość rozmaicie może być zmienne. Wiek podeszły zaczyna się od 50 roku i trwa do 75 roku życia, w którym człowiek cieszy się jeszcze po największéj części zdrowiem i przytomnością umysłową, lecz już zaczynają się przedwstępne kalectwa. Wiek zestarzały, upadku blizki poczyna się różnie, najczęściéj od 70 roku życia, w którym to czasie, siły fizyczne zwolna gasną, zęby wypadają, głos się zmienia, większa część sił fizjologicznych utrudnia się, zdolności umysłowe tracą na swojéj sile. Ten stan pogorszając się ciągle, wprowadza nas w 80 rok życia, do wieku zgrzybiałego, sędziwego, w którym to wieku widzimy zniszczenie stopniowe organów, ślepotę, słuch przytępiony, obojętność, rozsądek zboczony, głupowatość, stan do dzieciństwa podobny; aż nakoniec ciało ludzkie na pół zniszczone, ogołocone po większéj części z władz umysłowych, igraszka tysiącznych kalectw, upada mniéj więcéj spokojnie, pod brzemieniem niezliczonych przyczyn skierowanych do jego zniszczenia.

Te trzy podziały starości nie są stałe, często i te w krótkim czasie zlewają się jedne w drugie, niekiedy mijają kres naznaczony. W ogóle okresy te zależą od licznych przyczyn; dla tego też widzimy niekiedy osoby już zgrzybiałe w 60 roku życia, kiedy inne zaledwie w 90 roku przybierają późną starość.

Starość, epoka dojrzałości człowieka, jest to jesień i zima życia; wszystkie niemal narody tak w sta-

rożytności jak i dzisiaj, oddają temu perjodowi życia niezaprzeczone dowody głębokiego uszanowania; wiek rozsądku, rad zdrowych, silnych postanowień i silnéj woli; wiek ten wielki wpływ na massy ludzi wywiera, najczęściéj rządzi się mądrością i rozsądkiem.

Ale jeżeli starzec świeci dojrzałością, cnotą, sądem zdrowym, epoka ta życia jest razem i upadkiem ciała; część materjalna naszéj istoty przez czas słabieje, rozwala się; rozsądek i myśli powoli gasną, nareszcie znikają, kiedy ciało domaga się jeszcze swych praw zwierzęcych. Człowiek żyje więc jeszcze, raczéj roślinkuje, bo najszczytniejsza część jego jest mu oderwaną. Smutny warunek życia! ozdoba przyrody, duma stworzenia, człowiek, zostaje w końcu machiną regularną, ograniczoną do najprostszych czynności organicznych. Wpływ, jaki wywiera ręka czasu na ciało ludzkie, jest tak widoczny, że każdy, chociażby najmniéj wprawny spostrzegacz, może mniéj więcéj oznaczyć liczbę wiosen przeżytych.


I podążył spocząć na najbliższym klocu, — (str. 343, szp. 1).
(Rysował Polkowski—wyciął na drzewie Kuczyński).

Po wieku dojrzałości, kiedy nawet człowiek nie jest jeszcze starym, to już mu ubywa nieznacznie, zwolna dawniejsza moc, pełność, ruchy i czynności ciała naszego gnuśnieją, apetyt się zmniejsza, żucie mniéj doskonałe, albowiem zęby się zużywają, chwieją, nakoniec wypadają, trawienie pokarmów słabnie; przyswajanie, oddychanie i krwi krążenie w żyłach, stopniowo wolnieją; wzrok z każdym rokiem się osłabia, słuch tępieje, i dla tego ludzie z wiekiem stają się bardziéj ponuremi, milczącemi. W rysach twarzy widać więcéj powagi, spokojności i obojętności na świat zewnętrzny, głos ciszeje, mowa nie tak wyraźna, myśl mniéj się skupia, pamięć, wyobraźnia przytępiają się; namiętności ustępują, lecz zato rozsądek jest dojrzalszy i mocniejszy, chód jednostajniejszy, coraz większa łatwość zadyszania się, postawa ciała ciężarem lat coraz więcéj nachyla się, maleje, chudnie; kształt okrągły, piękny, szlachetny, który znamionował przez długie lata pana ziemi, króla zwierząt, ginie, kończaste wyniosłości sterczą, a ruchy tem samem coraz więcéj utrudniają się. Kręgosłup, głowa przechylają się ku przodowi, jakby przepowiedni zwiastun „in cinerem reverteris.” Cała skóra szorstka, blada, oschła, więdnieje, marszczy się, ręce, kolana i nogi zesztywniałe drżą, dodają niepewności w chodzie, aż też w końcu odmawiają mu i téj przysługi, zmuszając go do ciągłego spoczynku. Twarz drobnieje, bez rumieńca, barwy żółto-zieléj, okryta zmarszczkami, przedstawia zaledwie ślady minionych rysów młodości. Szczęki bezzębne zbliżają się do siebie, policzki zapadają tak że nos styka się z brodą. Oczy głęboko wpadają i łzawieją, ropieją. Włosy nie dają się ułożyć jak w młodym wieku, siwieją, następnie opadają jak liście w jesieni. Najmniejszy ruch u starca ma swój cel oznaczony, najczęściéj potrzebuje podpory, kija. Drzemie często,—śpi krótko i snem nie głębokim.

Objawy powyższe stopniowo i nieznacznie przybierają cechę późnéj starości, z chorobami jéj towarzyszącemi, i służą poniekąd za przejście życia do kresu nam przez Stwórcę naznaczonego.

* * *

Czynności umysłowe podzielimy na zdolności umysłowe i namiętności. Przy rozwalaniu i przeistaczaniu się stopniowem organizmu zwierzęcego, jakie znamionuje wiek starca, zdolności umysłowe przez czas niejaki dochowują się zdrowe, niektóre nawet z nich nabierają więcéj siły. I tak rozsądek starca poszedł nawet w przysłowie; do tych to ludzi zwykle udajemy się po radę i zdanie, którego nabyli doświadczeniem, bo też starzec więcéj widział, uważał i myślał od człowieka młodszego. Jednakowoż rozum, który zależy bezpośrednio od stanu prawidłowego mózgu, słabieje do tego stopnia, że w zgrzybiałéj starości wrażenia znacznie tępieją.

Ponieważ organa zmysłów uległy w tym wieku zmianom niekorzystnym, więc i pojęcia, jakie nam przesyłają, muszą być błędne, fałszywe, więc pojęcie o rzeczach zewnętrznych jest wynikiem późnéj starości; sąd o nich musi być skrzywiony; i gdyby doświadczenie tyloletnie nie przychodziło mu w pomoc, starzec byłby w ciągłym błędzie o rzeczach go otaczających.

Fantazja, wyobraźnia ostudzona, prawie wygasła w tym wieku; co zostało, przedstawia się starcowi w barwach smutnych; przyszłość widzą zawsze posępną.

Najstalszem kalectwem umysłowem tego wieku jest utrata pamięci. Starzec zapomina co robił wczoraj, dzisiaj; tak zdarzenia świeże mało czynią na nim wrażenia, pamięć dochowuje mało wypadków. Lecz jeżeli pamięć ogółowa gaśnie, pamięć zato miejscowa nabiera więcéj mocy; starzec opowiada z wszystkiemi szczegółami, i z wielką przyjemnością, miejsce urodzenia, spędzone lata dziecinne, opisuje oso-

by oddawna mu znane, zdaje się żyć tylko samem wspomnieniem przeszłości, dla tego gani bezwzględnie świat dzisiejszy ze wszystkiemi jego wynalazkami.

Uwaga, zastanawianie się, właściwe są temu wiekowi. Starzec ogołocony z ułud życia, myślą natężoną uważa, słucha cierpliwie opowiadania, a przejmując się niem, daje sąd, wyrok. Sąd ten stały, zdrowy, oparty na długiem doświadczeniu i znajomości serca ludzkiego, tembardziéj, że wyobraźnia jego zimna, przyjmuje obrazy jak są w rzeczywistości. Zwykle też bywa myślący, uważny, sąd jego pewny, a rady daje zdrowe. Sąd ten zdrowy zachowuje dość długo, póki myśl nie zdziecinnieje, co się w późnéj bardzo starości przytrafia.

Namiętności gwałtowne czyli gorączkę chęci, potrzeb i woli niezłamanéj, rzadko uważamy w tym wieku. Zwykle starcy żyją spokojnie, skromnie, nie frasobliwie, a jeśli który przepędził swój wiek podług praw moralności, zbiera najprzyjemniejszy i najsłodszy owoc, prawdziwą nagrodę sumienia czystego i niczem nieskalanego. Starcy jednak mają swe żądze, chęci, najwięcéj oparte na miłości życia; kiedy widzi się zewsząd opuszczonym, kiedy zmysły gasną, sprawy życia utrudnione, kiedy widzi w każdym kroku śmierć; tedy wszystko co może zbiera, aby zachować i przedłużyć byt ziemski, i o ile też młodzi szafują mieniem, zdrowiem, o tyle starcy bywają skąpi i samolubni.

Rozmowa jest największą przyjemnością starca; głosem chrapliwym, trzęsącym się, cichym, opowiada wypadki zwykle takie, gdzie był szczególniejszym bohaterem; szczęśliwi ci, którzy tylko kilka razy jedno i to samo słyszeli; wiecznie on chwali czasy przeszłe, w owe czasy byli ludzie więcéj warci, obyczaje były czyściejsze, mniéj było chorób trapiących ród dzisiejszy, chleb był tańszy; wojskowy prawi wiecznie o wyprawach wojennych, sędzia o swych sprawach, lekarz o swych sławnych wyleczeniach, i najczęściéj mijają się z prawdą. Potrzeba rozmowy wyrosła jak się zdaje z braku zajęcia i z natłoku wypadków, jakich był świadkiem. Tym sposobem starzec uprzyjemnia swoje godziny i zabija czas, który inaczéj dla jednostajności tak długi by mu się zdawał. Zwykle bywa obojętnym na wszystko co się nie odnosi do niego, lub dla niego. To samolubstwo wywołały słabość organów i upadek władz umysłowych.

Starzec bywa zwykle niedowierzający, pessymista, odludek, jednakowoż, czy przez słabość zmysłów, czy ciała, dowierza ludziom, szczególniéj wtedy, kiedy idzie o środki zachowawcze do swego istnienia.

Skąpstwo starca przechodzi w chorobę, żądza zbierania, układania bez najmniejszéj korzyści własnéj, jest jego namiętnością. Czyż nie słyszeliśmy o umierających z głodu, na pościeli złota!

Wreszcie obawa śmierci dochodzi u starca do najwyższego szczebla, drży na samo wspomnienie, na samą myśl o niéj.

Takiem to zwiędnieniem powolnem wszystkich organów ciała, upadkiem sił, znikczemnieniem stopniowem zmysłów i zdolności umysłowych, schodzi człowiek do grobu.

Jeśli starzec nie może przedłużyć życia poza granicę naznaczoną przez przyrodę, to przynajmniéj powinien szukać środków dochowania tego wątłego zdrowia, i umieć oddalać ile można cierpienia, jakie spływają na tę epokę życia. Uniknie, jeśli żył podług przepisów moralności, jeśli umiał uniknąć niemocy srożących się w wczesnych okresach życia, i jeśli dziś jeszcze, kiedy nadeszła ta zima życia, wie i umie zastosować się do praw hygieny podawanych przez naukę. Starość, nawet zgrzybiałość przy zdrowiu, nie jest stanem tak przykrym, jak powszechnie sądzą; cieszy się starzec spokojnością młodym nieznaną, nie będąc miotany gwałtownemi namiętnościami młodego wieku, ani współzawodnictwem wieku dojrzałego; uszanowanie, cześć, jakie mu powszechnie oddają, przyjemność jaką ma w udzielaniu rad, bywa dla niego pociechą, dla młodszych może niezrozumiałą.

Przepisy hygieniczne dotyczące innych lat, stosują się i do wieku starości; co do sposobu życia, powinien się starzec opierać na środkach, któreby nie niweczyły przedwcześnie już i tak gasnącego istnienia. W tym celu powinien oddychać powietrzem świeżem, czystem, tembardziéj, że w tym wieku kazi je znaczniéj; mieszkanie, w którem najczęściéj resztę życia przepędza, powinno być obszerne, widne, suche, ogrzewane w zimie, odświeżane w lecie. Ciepło otaczające ma być umiarkowane, bo gdy zimno jest przyczyną powodową do tak licznych i nieszczęśliwych w tym wieku zapaleń płuc, to gorąco wysokie usposabia znów do napływów mózgowych. Czystość nadzwyczajna jest niezbędną, aby zapobiedz częstym wysypkom. Co do pożywienia, starzy powinni unikać pokarmów mocno pożywnych, ciężkich do strawienia i rozpalających; przedewszystkiem tamować skłonność do łakomstwa. Niestrawność jest w tym wieku więcéj znaczącą jak w innym, a żołądek trudniéj do prawidłowego stanu powraca.

Starzec zwykle powinien unikać wrzawy i wielkiego ruchu, bo spoczynek jest mu bardzo potrzebny. W ogólności starcy śpią mało, ale spoczynek w łóżku jest koniecznym warunkiem.

W ogóle warunkiem niezbędnym dojścia długoletności, będzie pędzić życie spokojne, trzeźwe i umiarkowane. *Dr. Eborowicz.*

GĘSI.

(BAJKA).

Ni ztąd ni zowąd, nagłą zdjęte trwogą,
Gęsi pod blizkim zerwały się lasem,
I z wielką przez wieś uciekając trwogą,
Z strasznym leciały hałasem.

„Cóż to za głupstwo z takim krzykiem wpadać,"
Tak zlękły kogut z wzniosłéj woła tyki,
„Nikt was nie myśli ni gonić, ni zjadać,
Po cóż więc, po cóż te krzyki?"

„Alboż my wiemy, co się dzieje z nami,"
Rzecze mu jedna pędząca w odwodzie,
„My tylko lecim za temi gęsiami,
Które tam krzyczą na przodzie."

Stanisław Nowiński.

FARBA DO PODŁÓG.

Wziąść funt wosku, pół funta potażu, ćwierć funta kleju stolarskiego, i ćwierć funta gumiguty. Mając to wszystko, wsypać wosk porąbany z potażem do jednego garnka glinianego nowego, lub używanego żelaznego, dokładnie wyszorowanego; na to wlać garniec wody deszczowéj, i wrzucić kawa-

łek zwyczajnego mydła żółtego, celem zapobieżenia skrupieniu się wosku. Poczem gotować. Podczas gotowania mięszać ciągle łopatką drewnianą nową, dopóki nie otrzyma się masa. Po wydobyciu z téj masy łopatki, jeżeli na niéj żaden osad nie pozostanie, to garnek usunąć od ognia, mięszając tak długo masę, aż się stanie tylko letnią.

Gumigutę potłuczoną, tak samo gotować. Wody zaś do kleju i do gumiguty, użyć, w miarę. Do garnka z woskiem i potażem, gdy jak się wyżéj powiedziało, masa w tymże garnku będzie letnią, wlać kléj i gumigutę, mięszając ciągle przy wlewaniu.

Na tydzień przed użyciem, potrzeba tę farbę przegotować, albowiem przez ten czas zgęstnieje farba, a tem samem staje się sporszą, bo można więcéj dolać wody.

Tak przygotowana farba, używa się w sposób następujący:

Przed samem zaprawianiem, wlać do opisanéj mięszaniny, dwie kwarty piwa zwyczajnego. Ponieważ najlepiéj zaprawiać farbę rzadką, zatem dolać trzeba w miarę zimnéj wody deszczowéj. Tak mając przyrządzoną farbę, trochę ulać jéj na miskę lub na miednicę, i maczać w niéj lekko pędzel nowy taki sam, jaki używany bywa zwykle przez murarzy i ciągnąć po podłodze raz przy razie, mocno wcierając farbę. Gdy podłoga wyschnie, wyszczotkować ją i zamieść, a potem drugi raz pociągnąć, a nareszcie wyszczotkować, wytrzeć suknem i zamieść.

Biorąc mało na pędzel farby, otrzymuje się tę korzyść, że mało farby wychodzi, i że równo się podłoga zaciąga. Farba ta jest nadzwyczaj trwałą, i z czasem gdy się podłoga przybrudzi, można ją wytrzeć lekko płatami, w wodzie twardéj maczanemi i dobrze wyciśniętemi, a będzie jeszcze ładną, po przewoskowaniu, wyszczotkowaniu i powtórnem wytarciu suknem. Zbytecznem byłoby dodawać, że podłoga powinna być doskonale wymytą, i że stosunek użycia materjału na wstępie podany, należy do wielkości podłogi zastosować.

Jeżeli kto chce dobrze umyć podłogę, to winien użyć zamiast mydła sody.

Sodę, któréj dostać można za małą cenę, w każdym składzie materjałów aptecznych, wsypać do wrzącéj miękkiéj wody, a jak się tylko rozpuści soda, zaraz szorować podłogę, sposobem zwykłym, t. j. szczotką. Brud zaś zbierać płatami w miękkiéj wodzie maczanemi. Dobrze bardzo powtórzyć mycie, tym samym sposobem. Takie mycie podłogi, nie pozostawia śladu najmniejszego, po najtłustszych plamach, i żadnego nie daje nieprzyjemnego odoru, jak to ma miejsce przy użyciu mydła.

Flanela i bielizna zażółcona, piorą się wybornie sodą. Flanela tylko pierze się w wodzie zaledwie letniéj, żeby się nie zbiegła. Kładzie się zaś soda do wody gorącéj.

DZIAŁANIE PYŁU WĘGLOWEGO NA ORGANIZM LUDZKI.

W ostatnich czasach z wielkiem powodzeniem użyto prochu węglowego, w zastępstwie szarpi, dla tego najbardziéj, że ten proch przy mocno jątrzących się ranach, nie tylko jak szarpia, jątrzenie niszczy, ale nadto przez swoją własność zapobiegającą zgniliźnie, zdolny jest zapobiedz gnojeniu się. Temu niepozornemu pyłowi węglowemu przypadła jeszcze ważniejsza rola, mianowicie leczenie chorób płucnych. Jakkolwiek rzecz ta potrzebuje jeszcze sprawdzenia, wszakże pierwsze już doświadczenia w téj mierze, są tak wielkiego znaczenia, że na bliższą zasługują uwagę.

Borus i Crocq (Krok) złożyli belgijskiéj akademji lekarskiéj, cały szereg zajmujących wiadomości, co do stanu zdrowia pracujących w kopalniach węgla. Zastanawiający fakt wypływa z ich uwag: że pył węglowy sposobem właściwym, ściśle łączy się z istotą ludzkiego ustroju. Uderzający tego dowód daje następujący przykład: Pewien węglarz, przy upadnięciu w kopalni, doznał strasznego zranienia pokryć głowy, tak że musiano zdjąć skórę z tyłu głowy, a skóra ta przy opatrywaniu, którego dopiero po kilku godzinach można było dopełnić, okazała się tak mocno wszędzie przesiąkniętą pyłem węglowym, że zupełne oczyszczenie z niego było niepodobnem. Niemniéj wszakże skóra była napowrót naciągnięta, przy brzegu nieco przymocowana, i zagoiła się z niemałem podziwieniem lekarza, bez względu na węgiel, w jak najkrótszym czasie.

Co się tycze dłuższego pobytu w atmosferze, obciążonéj pyłem węglowym, okazało się, że najdelikatniejsze tylko cząsteczki pyłu, mogą dostać się do komórek płucnych. Na zdrowych, to ciągłe wdychanie węgla nie wywiera wcale szkodliwego wpływu, a na słabych piersiowych działa najczęściéj w sposób dobroczynny. Oczywiście pomiędzy pyłem węglowym a pochodzącym z kamieni albo mąki, zachodzi istotna różnica. Krzemieniste i wapienne cząsteczki pyłu z kamieni, swemi ostremi kantami działają raniąco, wzbudzają zapalenie i jątrzenie; wciągnięty pył z mąki doznaje w piersiach rodzaju gnicia, które udziela się substancji płucnéj i ją chorobą dotyka. Wciągany zaś pył węglowy, stykając się z płucami, te okrywa przed bezpośredniem działaniem powietrza atmosferycznego, chroni przeciw jątrzeniu się i z organiczną istotą płuc, jak najściśléj się łączy. Pył węglowy występuje tu nie jako ciało obce, które musi być wypchnięte, ale jest jakby blisko pokrewny organizmu, nie tamując procesu żywotnego. Bardzo wymownie za zbawiennym wpływem pyłu węglowego przemawia nadto ta okoliczność, że liczba cierpiących na suchoty płucne węglarzy, jest w stosunku do pracujących w innych gałęziach przemysłu, bardzo mała.

Ażeby zbawczemu działaniu pyłu węglowego na choroby płuc, nadać praktyczne także zastosowanie, zbudowano bardzo stosowny przyrząd, za pomocą którego chorzy mogą oddychać drobniuchnemi węglowemi substancjami, zupełnie jak gdyby byli w kopalniach węgla.

ROZMAITOŚCI.

— W Południowéj Ameryce, szczególnie w Uruguay, tak ogromny jest dostatek bydła, że tam zabijają krocie wołów i owiec, jedynie dla skóry i tłuszczu. Najmniejszą zaledwie cząstkę mięsa obracają na solenie, a resztę po największéj części wrzucają do rzeki. Niejaki pan Giebert z Hamburga, który w tamtych stronach przez czas długi jako inżynier budowami się trudnił, po przeczytaniu listów chemicznych Liebiga, wpadł na myśl spożytkowania tych zbywających mass mięsa. Pojechał do Monachium; pod kierunkiem Liebiga i profesora Pettenhofera, nauczył się przyrządzania extraktu mięsnego i powróciwszy z potrzebnemi przyrządami do Uruguay, rozpoczął fabrykację tegoż na wielką skalę.

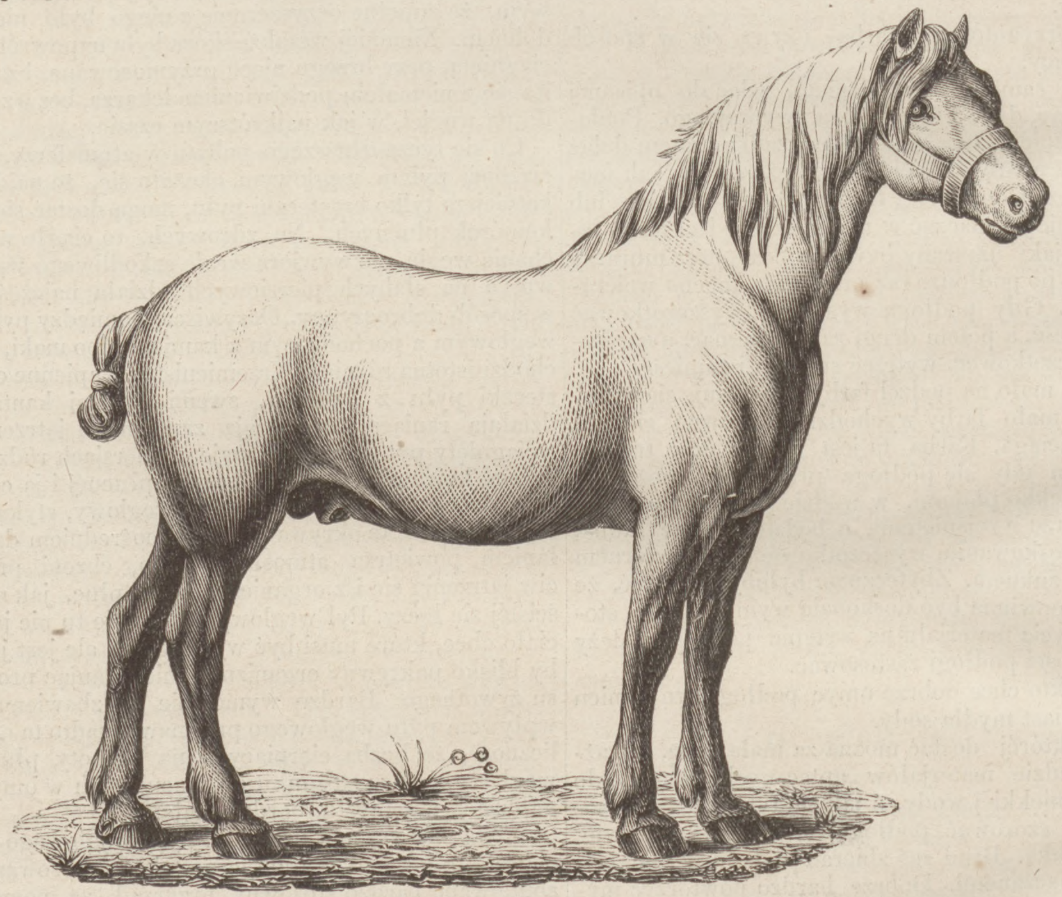
On zamysla wysyłać miesięcznie od 5 do 6 tysięcy fun-

tów, a cena wraz z kosztami transportu ma wynosić trzecią część cen obecnie praktykowanych w Europie. Pierwsza przysyłka wypadła najwyborniéj.

— Wiadomo jak ważną rolę w systemacie edukacji wywierają podręczniki, streszczając główne zasady danéj nauki, w sposób przystępny dla ogółu. Dziełka popularne tego rodzaju, szczęśliwie pomyślane, służą za przewodnika w ukształceniu nie jednego pokolenia; lecz ponieważ wszystko postępuje, wszystko choćby i dobre w danym czasie, z postępem wyobrażeń, zatapia się w oceanie przeszłości, dla tego też i rzeczone podręczniki, ustępując z pola swéj działalności, zostawiają miejsce innym, i rzeczywiście, jest to nieubłaganą koniecznością postępu, wynikiem kształcenia się wyobrażeń. Uwagi te przyszły nam na myśl, gdyśmy przeglądali świeżo wyszłą z druku książeczkę pod tytułem. „Mały katechizm, z dodaniem Historji Świętéj Starego i Nowego Testamentu, dla młodzieży katolickiéj szkół początkujących, napisany przez ks. J. *Szpaderskiego*." Książeczka ta o 78 stronicach, godnie zastąpi, katechizm dotąd do użytku szkolnego używany, a przez zmarłego ks. Putyatyckiego przed laty kilkudziesięciu napisany.

Wykład w tem dziełku jasny, dostępny dla pojęcia nawet dziecka ośmioletniego. Przejrzawszy całą książeczkę, nie znaleźliśmy ani jednego miejsca, któreby w wykładzie nastręczyło wątpliwość w słuchającym; wszystko tu jasno i popularnie wyłożono i nie jest to suchy traktat dogmatyczny, ale dostępny wykład słowa Bożego i pierwszych zasad naszéj wiary katolickiéj. Domieszczona tylko w końcu Historja Święta, za zbyt grzeszy treściwością; bez dosadnych komentarzy nauczającego, przez ogół dzieci, z trudnością mogłaby być zrozumianą i pojętą.

— Dla miłego grosza wiele człowiek robi, ale żeby zapomniał, że jest człowiekiem, żeby na pośmiewisko się wystawiał, to trudno uwierzyć, a jednak się to dzieje niemal codziennie, przed naszemi oczami w Warszawie; kto nie wierzy ten niech przejdzie się około Banku Polskiego od strony ulicy Elektoralnéj, w godzinach rannych, około 10-éj. Zrobiono przegrodę, na nic się to nie zdało, amatorowie świeżego grosza, cisną się jeden przez drugiego, popychają, szturgają, wymyślają i nic nie pomaga, tłok nie do darowania w ucywilizowanem mieście powtarza się codziennie, i kiedy doraźnie i słusznie wymierzona na miejscu sprawiedliwość nie przynosi pożądanego skutku; notujemy ten fakt w kronice pisma naszego: jak dalece zapominamy nawet pierwszych oznak cywilizacji, wystawiając się na pośmiewisko gawiedzi ulicznéj, a kieszenie nasze oddajemy na przepatrzenie i oczyszczenie przez specjalnych rzezimieszków, których liczba niestety, jakoś dosyć licznie się już wzmogła.



Koń Ardeński.—(Wycięto w drzeworytni Lipskiéj Webera).

Myśli i Zdania.

— Wszystkiego łagodnością dokazać można. Cóż miększego nad wodę? a przecież ona najtwardsze kamienie wydrąża.

— Sumienie nasze powinno być starannie ocierane. W mieszkaniu, gdzie nikt nie bawi, kurz zawsze okrywa przedmioty.

— Nie sądź rzeczy Boskich po ludzku.

— Szczęśliwi ludzie cichego i pokornego serca: ich ciało nizko, ale dusza wzlatuje ku Niebu. Biada zuchwałym, którzy głowę nad poziom wynoszą, a umysł pogrążają w ziemi!

w Drukarni J. Jaworskiego.—Za pozwoleniem Cenzury Rządowéj.—*Redaktor*, Adam Mieczyński.